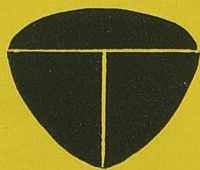


JOHN GAY
OPERA ŻEBRACZA





**TEATR LUDOWY
KRAKÓW — NOWA HUTA**

Dyrektor

JERZY FEDOROWICZ

Zastępca dyrektora

ELŻBIETA MACH

Kierownik literacki

JOANNA OLCZAK-RONIKIER

PRZYJACIEL GULLIVERA

Wszystko to było niewiarygodne, tak niewiarygodne, że musimy cofnąć się o kilka lat, żeby pojąć, co naprawdę wydarzyło się w Londynie 29 stycznia 1728 roku.

Po tryumfalnym marszu przez wszystkie stolice Europy wielki Händel wybrał Londyn jako miejsce stałego zamieszkania, a wieść o tym, że chce się naturalizować i zostać przybranym synem Anglii wywołała natychmiast entuzjastyczny odzew. W ciągu paru dni zebrano olbrzymią sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów i ufundowano gmach Królewskiej Akademii Muzycznej, „aby zabezpieczyć stały dopływ oper pana Händla wykonywanych pod jego pieczęcią”. Królewski Teatr Akademii otworzył podwoje w kwietniu 1720 i w ciągu następnych ośmiu lat wykonano tam czternaście oper Händla. Były to opery wspaniałe, tragiczne, nasycone dramatyczną muzyką, a obsadę ich stanowiły najlepsze głosy Anglii i Kontynentu.

Przerwijmy teraz opowieść o niemieckim mistrzu i cofnijmy się nieco, do ostatnich miesięcy roku 1727. Mało znany i zgoła nie sławny autor pewnej ilości wierszy i utworów dramatycznych, pan John Gay, zwraca się do nowopowstałego teatru Lincoln's Inn z prośbą o wystawienie „*Opery żebraczej*”, do której napisał libretto.

Libretto? Cóż to za libretto? Błaha, byle jak sklecona, plugawa, wszeteczna fabuła. A bohaterowie? Kilka prostytutek, paru rzeźmieszków, dwóch absolutnie skorumpowanych podrzędnych urzędników miejskich-paserów i ich dwie (nie wiele więcej warte) córeczki. Ani jednej uczciwej, przyzwoitej osoby, ani odrobiny szczerego uczucia. Od początku do końca króluje występki, który w ciągu całej sztuki nie zostaje w najlżejszy nawet sposób potępiony. Więc może wspaniała muzyka? Niejedna wielka opera ma przecież nędzne libretto.

Otóż nie miała ta szczególna opera żadnej własnej muzyki. Nie miała, ponieważ skomponowały ją dziesiątki znanych, a najczęściej anonimowych osób. A jednak ta niewiarygodna opowieść przekazała nam nazwisko kompozytora powtarzane do dziś przez wszystkie słowniki i encyklopedie muzyczne świata. Człowiek ten był współnikiem Gaya i nazywał się Pepusch. Był wędrownym skrzypkiem niemieckim, który zabłąkał się do Londynu, umiał zapisywać nuty i żądał, by przed nazwiskiem jego kłaść tytuł Doctor. Praca jego polegała na zręcznym wciśnięciu do utworu jak największej ilości popularnych piosenek angielskich, irlandzkich i szkockich... a także paru fragmentów cudzych oper i taki jest jego wkład w stworzenie muzyki dla „*Opery żebraczej*”. Ludzie najbardziej mu przychylni twierdzą, że jednak napisał uwerturę pierwszego aktu, inni są zdania, że także ją ukradł, zapomniałem już z czyjego utworu.

Właścicielem teatru Lincoln's Inn był John Rich, człowiek sprytny, inteligentny i także mający zapewnione na wieki miejsce w dziejach Anglii, jako twórca brytyjskiej pantomimy. Podobno był znakomitym aktorem mimicznym, a na pewno geniuszem finansowym. Rich przeczytał libretto, zrozumiał najwyraźniej to, czego nie pojęli właściciele dwóch teatrów, którzy zdążyli już odrzucić ze wstrętem utwór Gaya i natychmiast wyznaczył dzień premiery.

Ale żeby niewiarygodne stało się naprawdę niewiarygodne, ta opera z plugawym librettem, z byle gdzie zebraną muzyką, została już na wstępie pozbawiona śpiewaków. Albowiem pan Rich doszedł do wniosku, że ludowe piosenki i bohaterowie z marginesu społecznego nie wymagają zawodowego podejścia i mogą zostać zastąpieni przez amatorów, co będzie kosztowało nieskończenie mniej.

Tak więc główną rolę Polly Peachum powierzono pannie Lavinii Fenton, dziesięcioletniej córce właściciela podejrzanej kawiarenki-splunki, gdzie chętnie zbierał się półświatek. Lavinia nigdy przedtem i nigdy potem nie stanęła na deskach scenicznych. Polly była jej jedyną rolą. Ale że w naszej niewiarygodnej bajce wszystko jest możliwe, można Lavinie oglądać do dziś. Jej wspaniały portrét pędzła największego malarza jakiego wydała Anglia, wisi w Narodowej Galerii przy Trafalgar Square w Londynie. William Hogarth malował ją zresztą kilka razy zanim... Ale o tym później.

Podsumujmy: 29 stycznia 1728 odbyła się premiera opery pozbawionej oryginalnej muzyki i profesjonalnych wykonawców, nie wspominając już o amoralnym, marnym librecie i akcji



rozgrywającej się wśród najniższych, zbrukanych występkiem warstw społeczeństwa.

A następnego ranka cały Londyn leżał u stóp Lavinii Fenton, przed teatrem ustawiały się ogonki, nigdy dotąd nie widziane, John Gay stał się bohaterem narodowym, a „*Opera żebracza*” rozpoczęła tryumfalny marsz, który trwa do dziś.

Po kilku dniach John Gay napisał do swego przyjaciela Jonathana Swifta, dziekana katedry Świętego Patryka w Dublinie:

„...grają to w teatrze Lincoln's Inn Fields z takim powodzeniem, że tłumy oblegają teatr każdego wieczora. Dziś jest piętnasty dzień i sądzi się, że rzecz potrwa jeszcze co najmniej dwa tygodnie...”

Mniejsza o to, że Gay omylił się ogromnie na swoją niekorzyść, ważny jest adresat listu, jeden z największych pisarzy świata, autor „*Podróży Gullivera*”. Gdyż to on był autorem pomysłu „*Opery żebraczej*”! Znali się od wielu lat, od czasu, gdy Swift przebywał w Londynie, zanim opuścił to miasto, by przeżyć resztę swoich dni w Irlandii. Należeli do wspólnego kręgu ludzi pióra o dość zróżnicowanych poglądach. Gaya i Swifta łączyła wspólna ocena naszego gatunku. A była to ocena straszna: absolutna niewiara w wielkość człowieka jako istoty społecznej i dążąca w ślad za nią niewiara w czystość intencji ludzkich. Swift ujął to lapidarnie:

„Zawsze nienawidziłem wszystkich narodów, profesji i społeczeństw, a cała moja miłość skierowana jest ku pewnym jednostkom. Lecz ogólnie rzecz biorąc, nienawidzę tego zwierzęcia, które zwą człowiekiem”.

W posłowie mego tłumaczenia „*Podróży Gullivera*” napisałem kiedyś do polskiego czytelnika: „*Radzę czytać „Podróż Gullivera” mając powyższe zdanie w pamięci, a dostrzeżemy zupełnie inną książkę niż tą, którą otoczyła pogodna tradycja*”.

Dziś mógłbym dodać: „*Radzę oglądać sztukę Gaya mając w pamięci zdanie Swifta, a zobaczycie Państwo zupełnie inny utwór*”.

Co zrobił Gay, aby widzowie zobaczyli zupełnie inną sztukę? Dokonał paru bardzo prostych zabiegów. Pierwszym z nich był stosunek do języka, jakim przemawiają postaci sceniczne. Język angielski jest językiem „klasowym”, a w wieku osiemnastym różnice pomiędzy słownictwem warstw wyższych i niższych były olbrzymie, większe nawet niż obecnie pomiędzy językiem absolwentów Oxfordu, a ludzi posługujących się londyńskim Cockney'em, gwarą stołecznych warstw niższych.

Otóż bohaterowie Gaya: prostytutki, bandyci i paserzy wysławiają się jak damy i panowie z najwyższych sfer!

Zabieg drugi: mówiąc o przestępstwach popełnianych przez bohaterów, Gay otwarcie powołuje się na elitę kraju i dobitnie stwierdza, że działa ona dokładnie tak samo jak margines społeczny, choć formy postępowania są nieco inne.

Zabieg trzeci: negowanie wszelkich praw i całej moralności ludzkiej, jako absolutnie nie respektowanych przez ludzi, bądź respektowanych tylko powierzchownie i porzucanych natychmiast, gdy wymaga tego sytuacja bądź korzyść, jaką można uzyskać z łamania wszelkich praw i przykazań.

Swift i Gay patrzyli na ludzkość tymi samymi oczyma, choć Swift był postacią tragiczną, a Gay wesolym, lekkomyślnym obibokiem. Nie jestem jednak pewien, czy tragiczna przygoda Gullivera zagnanego do królestwa szlachetnych koni, którym służą podle istoty ludzkie, jest bardziej przerażająca, niż ta pogodna, rozśpiewana „*Opera żebracza*”, w której grupa wyrzutków społeczeństwa pokazuje dobitnie, że cała ludzkość gotowa jest przemienić się w margines społeczny, a wszystkie prawa służą oszustom, podobnie jak uczciwość, porzucana na zawołanie i będąca jedynie instrumentem, którym zręcznie posługują się, na przykład, rozsądne kobiety, kapłani, sędziowie i władcy i tak dalej, i tak dalej.

Najzabawniejsze w tym jest, że piękna córka oberżysty, Lavinia Fenton, która okazała się genialną odtwórczynią Polly, została wkrótce kochanką księcia, a w konsekwencji prawdziwą księżną, gdyż zakochał się w niej jeden z najbardziej utytułowanych widzów.

Hogarth, który miał równie drapieżny stosunek do naszego gatunku jak Swift i Gay, malował kilkakrotnie „*Operę żebraczą*”, a właściwie koniec jej finałowej sceny. O dziwo, obrazy te nie są kopiami pierwowzoru, lecz różnią się od siebie: na pierwszym z nich księżę Bolton siedzi w łożu i nie zwraca większej uwagi na Polly, na drugim, namalowanym w dwa lata później, wspaniały diuk siedzi wychylony i pozera oczyma swą przyszłą żonę.

Mógłbym długo jeszcze opisywać dzieje „*Opery żebraczej*”. Ale niech nam wystarczy, że jedynymi dwoma ludźmi, którzy wylamali się wówczas z chóru entuzjastycznych głosów, byli Arcybiskup Canterbury i autor „*Robinsona Cruoe*”, Daniel Defoe. Mógłbym dodać, że pierwsza opera angielska przyczyniła się do upadku i bankructwa teatru operowego mistrza Händla. A wreszcie mógłbym zadać czytelnikom tego tekstu pytanie: Jak sądzicie, gdzie pochowano Gaya?

John Gay spoczywa na brytyjskim Wawelu, czyli w Katedrze Westminsterskiej!

A kto spoczywa kilka kroków od niego? Oczywiście mistrz Georg Friedrich Händel!

Cóż to za wspaniały naród ci Anglicy.



BRONISŁAW GEREMEK

ŚWIAT OPERY ŻEBRACZEJ

W XV-wiecznym raporcie władz miejskich Bazylei, jednym z najciekawszych średniowiecznych „policyjnych” dokumentów środowiska przestępczego, pod tytułem „sztuczki, dzięki którym włóczędzy i ślepy wyłudniają jałmużnę”, znajduje się opis trzech dziesiątków kategorii żebraków i włóczęgów. Pierwsza z nich to żebracy-oszuści, tacy co mydło biorą do ust i puszczają sobie krew z nosa, tacy co zakrwawione chusty rzucają sobie na twarz i na ciało, tacy co przy pomocy pomad i maści doprowadzają ciało do takiego stanu, żeby wyglądali na ciężko poparzonych. Te trzy techniki oszustwa żebraczego tworzą jakby podgrupy w ramach tej samej kategorii żebraków symulujących choroby. (...) Także następną grupę znamionuje technika oszustwa: smarują się oni nawozem końskim rozpuszczonym w wodzie i udają chorych na żółtaczkę. Inni smarują sobie pomadą ręce, aby wyglądało, że są to ślady po łańcuchach, i udają, że właśnie wyszli z więzień; jeszcze inni robią sobie znamiona i obrzęki na kościach, aby wyglądało, że są to ślady po dybach. (...) Po tych grupach żebraków uciekających się do oszustwa dla wyłudzenia jałmużny następują inne, których procedury są nieco odmienne. A więc są tacy, którzy chodzą z „długimi nozami” czy też ze szpadami i twierdzą, że muszą zapłacić wielką karę, bo zranili kogoś w obronie własnej (czasem towarzyszy im pacholek, któremu właśnie muszą rzekomo tę karę zapłacić); chodzące zaś z nimi kobiety twierdzą, że były nierządnicami i teraz chcą naprawić życie, a o jałmużnę proszą z woli św. Marii Magdaleny. Inne kobiety wypychają sobie suknie i twierdzą, że są w ciąży; inne jeszcze mówią, że oplakują swoje dziecko jakoby właśnie przed dwoma tygodniami zmarłe, a już od dziesięciu lat żadnego dziecka nie urodziły. Niktórzy żebracy twierdzą, że pochodzą ze szlachty, ale wojna, pożar czy też niewola doprowadziły ich do ruiny, inni udają, że ich zbójcy obrabowali i niekiedy nawet noszą ze sobą dokumenty stwierdzające rabunek. Grupa udająca nawróconych Żydów składa się przede wszystkim z kobiet, które wróżą ludziom, a ściślej mówiąc informują, czy rodzice są w piekle czy niebie, a przy okazji kradną ubrania. Wśród ślepców, którzy są żebrakami par excellence, najbardziej oczywistą grupą i najlepiej profesjonalnie zorganizowaną, wyróżnia dokument bazylejski trzy kategorie. Ślepi z woli Bożej, którzy przychodzą do jakiegoś miasta chowając swoje czapki czy kaptury, mówiąc, że je im ukradziono czy też je zgubili, a potem dostają ich po dziesięć czy dwadzieścia jako jałmużnę i handlują nimi. Drugą kategorię stanowią tacy, którzy oślepieni w wyniku „swojej złości czy też złego prowadzenia się”, włóczą się po kraju, pokazują święte obrazy pod kościołami, głoszą, że byli w Rzymie, u św. Jakuba czy w innych miejscach świętych i opowiadają o wielkich cudach, jakich tam byli świadkami, a co



jest oszukańczym wymysłem i kłamstwem. Wreszcie trzecia kategorię ślepców stanowią tacy, którzy oślepli przed dziesięciu lub więcej laty, ale którzy zakrwawionymi szmatami obwiązują sobie oczy i opowiadają, że byli kupcami czy też kramarzami i oślepieni zostali w lesie przez złoczyńców. Są też tacy, którzy przyszedłszy do jakiegoś miasta zostawiają swoje ubrania w oberży, leżą pod kościołami prawie nędzy, wołając, że cierpią biedę i chłód, drżącymi członkami pragną wzbudzić litość. Inną kategorię stanowią rzekomi obłąkani, rozdierający na sobie szaty; podobnie czynią ci, którzy udają opętanie, wołając, że siedzi w nich zły duch i muszą ofiarować kóremuś ze świętych dwanaście funtów wosku, aby się oswobodzić od szatana. Do osobnej grupy należą ludzie o pewnym wykształceniu, którzy twierdzą, że są księżmi, na co jakoby mogą przedstawić dokumenty; w czasie podróży do Rzymu czy też podczas pielgrzymki zostali obrabowani, i nie mają teraz za co powrócić do macierzystej parafii; trzymają w ręku książkę i udają, że ją czytają, jałmużnodawcy zaś obiecują wygłosić Ewangelię wedle św. Jana albo odmówić jakąś modlitwę. Inni głoszą, że są grzesznikami, trudnili się do niedawna rzemiosłem katowskim, wiele setek osób zabili, teraz zaś pokutują; jako pokutnicy wystawiają nagie ciała pod kościołami, prosząc przechodniów, żeby ich smagali i karali, w ten sposób pomagając im w pokucie. W kategorii tej są także kobiety, które dla przybrania wyglądu pokutnic smarują się krwią. Inni żebracy — jedni ślepi, a inni nie — doprowadzają do ślepoty dzieci, aby potem przy ich pomocy żebrac i łatwiej budzić litość. (...)

Dokument bazylejski stanowi frapujący, kreślony z ikonograficznym bogactwem szczegółów obraz tego mrowiska nędzy i oszustwa, jakie odgrywało codzienny spektakl pod drzwiami kościołów, a także w ich wnętrzach, na placach i na ulicach miast, na drogach. (...) Nie skrywa też jednoznacznej wrogości wobec żebraków. Nie ma tu słów ogólnej pochwały ubóstwa i chrześcijańskiego miłosierdzia, ale to właśnie dlatego, że tekst ten nosił charakter dokumentu miejskiego mającego ostrzeżać przed oszustami.

*

Psychologia włóczęgi, żebraka i przestępcy przybierała w obrazie literackim jak najbardziej różnorodne formy. Układały się one w trzy główne modele. Przede wszystkim w rysunku indywidualnym jest to postać groźna. Poprzez mechanizm przekazu genetycznego (włóczęga jako syn włóczęgi, żebrak jako syn żebraka, przestępca jako syn przestępcy), przez zmienne koleje fortuny czy przez złe skłonności następowało społeczne wykorzenienie, odmowa spełniała wyznaczonej roli społecznej, to znaczy — jako że znakomita większość przedstawionych ludzi była kondycji plebejskiej — odmowa pracy. Niechęć do pracy i niechęć do podległości czy zależności stanowiły motywację najczęściej wysuwane. Drugim modelem jest postać śmieszna. Wynikało to nie tylko z typu literatury, która się tą problematyką zajmowała, nie tylko z wymagań rynku czytelników i słuchaczy, którzy literaturę tę odbierali, lecz także z „socjologii śmiechu” w społeczeństwie tradycyjnym. Śmiech naruszał hierarchiczność i petryfikację przedziałów społecznych, śmieszność outsidera spełniała rolę dodatkowego elementu wykluczającego ze społeczeństwa normalnego, była formą racjonalizacji jego wykluczenia. Trzecim modelem przedstawiania był wreszcie typ człowieka sterowanego z zewnątrz, bez własnej osobowości, ulegającego złym wpływom lub złym skłonnościom, nie umiającego stawić czoła grzesznej naturze ludzkiej i sytuacyjnym okolicznościom, przystosowującego się do rzeczywistości w jej złych układach i nagannych moralnie wymogach. Tryb życia włóczęgowskiego naruszał stałość jako podstawę życia godnego, demoralizacja była wynikiem braku stabilizacji, a słabość protagonistów tej literatury prowadziła do ustawicznych rozczarowań — osiągnięte cele były notorycznie odmienne od zamierzonych.

Bronisław Geremek

Świat „opery żebraczej”. Obraz włóczęgow i nędzarzy w literaturach europejskich XV–XVII wieku
Warszawa 1985



W KRAKOWIE DZIAŁA MAFIA?

Obawy takie pojawiają się coraz częściej. W Gdańsku strzelanina i trupy, w podwarszawskim motelu porachunki również z użyciem broni palnej. A w Krakowie... Od trzech tygodni nie żyje pewien walczarz z Rynku Głównego. Wiele wskazuje na to, że koledzy z branży przyłożyli mu za mocno po jakiejś grubszej transakcji.

Coraz wyraźniejsze są symptomy organizowania się naszego świata przestępczego, w Krakowie działa kilkunastu paserów, którzy skupiają wokół siebie po 5-6 grup włamywaczy. Paserzy na ogół nie wtrącają się w wewnętrzną organizację tych grup. Ograniczają się do wskazania wartych zainteresowania mieszkań i zapewnienia sprzedaży łupu. Zarabiają przy tym duże pieniądze. Za np. kilkanaście magnetowidów, płacą złodziejom niewiele więcej niż potem uzyskują ze sprzedaży każdego.

Towar jaki interesuje paserów to złoto, srebro, waluta, zegarki, czasem antyki. Najważniejsze, aby rzeczy przeznaczone do sprzedaży nie miały cech pozwalających okradzionemu zidentyfikować swą własność. Dlatego ceniony jest południowokoreański sprzęt radiotechniczny, na którym producenci nie umieszczają numerów. Między paserami dochodzi czasem do walk, a najlepszym sposobem na unieszkodliwienie konkurenta jest „wystawienie” go na pobicie. Takie sprawy do policji nie trafiają.

Pojawiają się również próby wymuszenia na właścicielach sklepów i lokali haraczów za tzw. opiekę. Na Starym Kleparzu odnotowano takie przypadki. Właścicielom straganów grozi się pobiciem, zabraniem towaru. Na razie takie zastraszanie jest sporadyczne. Jak dotąd jeszcze bywa tak jak w pewnej krakowskiej kawiarni. Do pracującej tam barmanki przyszło dwóch panów mówiąc o ochronie jaką zapewnią lokalowi i wyznaczając za to cenę. Wtedy z zaplecza wyszedł właściciel. Jego 190 cm wzrostu wystarczyło, aby ich zniechęcić. Jeszcze wystarczyło. Co dalej?!

We wspomnianych grupach włamywaczy normą jest uzbrojenie w pistolety gazowe. Jak jednak obliczają zajmujący się tym policjanci na każdym dziesięć pistoletów gazowych znajdujących się w rękach przestępców przypada jeden na ostrą amunicję. Na czarnym rynku kupienie pistoletu P-64 czy P-83 to niewielki problem. Już za dwa miliony można nabyć taką zabawkę z magazynkiem wypełnionym ośmioma nabojami. Finansowa elita przestępców korzysta z szybkich samochodów, coraz częściej posługuje się krótkofalówkami. Notowane są też wypadki „czyszczenia” zdobytych nielegalnie pieniędzy poprzez lokowanie ich np. w spółki.

(mb): CZAS KRAKOWSKI — 4 X 1990



Rec^d December 22^d 1782 of Mr Tho. Wright

OPERA ŻEBRACZA

(The Beggar's Opera)

przekład: Michał Ronikier

muzyka
JAN KANTY PAWLUŚKIEWICZ

teksty piosenek
MICHAŁ ZABŁOCKI

inscenizacja
KRZYSZTOF ORZĘCHOWSKI

scenografia
ANNA MARIA RACHEL

choreografia
JACEK TOMASIK

reżyseria świateł
Jerzy Boduch

asystent reżysera:
Barbara Stesłowicz

asystent choreografa:
Barbara Marek

układ walk:
Marek Lech

przygotowanie muzyczne:
Lucyna Dzidko, Grażyna Sułkowska, Jerzy Kluzowicz

konsultacje wokalne:
Romana Krebsówna

gra zespół muzyczny pod kierownictwem:
Jerzego Kluzowicza i Stanisława Welanyka

adaptacja i układ tekstu, prolog i intermedium:
Krzysztof Orzechowski

OBSADA

Peachum	KRZYSZTOF JĘDRYSEK (gościnnie)
Lockit	EDWARD LUBASZENKO (gościnnie) ANDRZEJ MROWIEC (gościnnie)
Macheath	RAFAŁ DZIWIŚ MAREK LITEWKA (gościnnie)
Filch	ROMAN GANCARCZYK
Jemmy Nerwus	TOMASZ WACHOWICZ
Jack Zręczna Ręka	TOMASZ SCHIMSCHEINER
Ponury Wat	ROLAND NOWAK
Robin z Bagshot	KRZYSZTOF GADACZ PIOTR URBANIAK
Ned Złodziejaszek	PIOTR PIECHA
Harry Paddington	PIOTR PILITOWSKI
Mat Mennica	KRZYSZTOF GADACZ PIOTR URBANIAK

Płaczliwy Ben	Machaeatha	ANDRZEJ FRANCZYK ZBIGNIEW HORAWA
Śliski Sam		ZBIGNIEW SAMOGRANICKI
Tom Pijaczek		ANDRZEJ FRANCZYK ZBIGNIEW HORAWA
Strażnik więzienny		KRZYSZTOF GÓRECKI
Komediant		JERZY FEDOROWICZ TADEUSZ SZANIECKI
Żebrak		X X X
Pani Peachum		ALICJA BIENICEWICZ (gościnnie) EWA CZAJKOWSKA
Polly		AGATA JAKUBIK BEATA RYBOTYCKA (gościnnie) BARBARA SZAŁAPAK
Lucy		MAŁGORZATA HAJEWSKA-KRZYSZTOFIK (gościnnie) ALDONA JANKOWSKA EWELINA PASZKE
Diana Trapes		JADWIGA LESIAK HANNA WIETRZNY
Pani Coaxer	Kobiety uliczne	BARBARA STESŁOWICZ
Pani Vixen		EWA CZAJKOWSKA
Pani Slammekin		JADWIGA LESIAK HANNA WIETRZNY
Dolly Świntuszka		MAŁGORZATA KOCHAN
Sprzedajna Betty		ZDZISŁAWA WILKÓWNA
Knajpiana Jenny		ALDONA JANKOWSKA EWELINA PASZKE
Suky Elegantka		ZIUTA ZAJĄCÓWNA
Bezwstydna Molly		BEATA SCHIMSCHNEINER
Kobiety		KATARZYNA GŁADYSZEK MAJA WIŚNIEWSKA

inspicjent Dariusz Leszczyński
sufler Ewa Kursa

PREMIERA GRUDZIEŃ 1990





Jakub Ciećkiewicz

NURKI, ŚMIECIARZE, SZCZURY

Wielki organizm miasta wydała sześć tysięcy ton odpadów dziennie: wypełnia nimi śmietniki, prasuje w ciężarówkach, wypluwa, rozgniata żelaznymi gąsienicami buldożerów na komunalnych wysypiskach. Codziennie trzewia miasta przetrząsają „nurki”, śmieciarze i „kopacze” — selekcyonerzy rzeczy obrzydliwych, hieny żerujące na odpadkach cywilizacji.

NURKI

O zmroku „Emeryt” przerzuca przez ramię plastikowy worek, wyciąga z komórki długaśny „kopczyk” i wyrusza na łowy po swoim rewirze. Stary już jest. Dźwiga na karku ósmy krzyżyk. Ale trzyma się jeszcze całkiem dobrze. Trzeba go widzieć kiedy buszuje po podwórkach, kiedy zagłębia dwuzębną motykę w przepastnych kubłach. Żaden większy płat aluminium, stary but, szmata, kawałek miedzi nie ujdą jego uwadze. Znaczy, oczy ma jeszcze dobre. Ale i rozum mu służy. Całe życie stróżował, rentę wyrobił, teraz może dorabiać tym co znajdzie w śmieciach — na Tandecie albo na skupie.

Znamy się od dawna. W barze Kazimierz wypiliśmy nie jedno piwo. Znamy się na tyle, że kiedy zaproponowałem mu spółkę, nie odmówił. Wyjął z komórki drugi worek, wręczył mi porzewiałą latarkę. Idziemy na obchód okolicznych śmietników.

Zagłębiaamy się w zakamarki oficyń, wysypujemy kontenery na ziemię. Z ich wnętrza bucha kwaśny, mdły fetor sfermentowanych śmieci. W świetle lampki błyszczą gdzieniegdzie pogięty czajnik, „tłumnik”, kawał drutu. — *W śmieciach som nieraz i pieniądże, zegarki popsute, różne szpeja, śrubki* — zachęca — *Wyczyścisz to, wyoliwisz i na sprzedaż.*

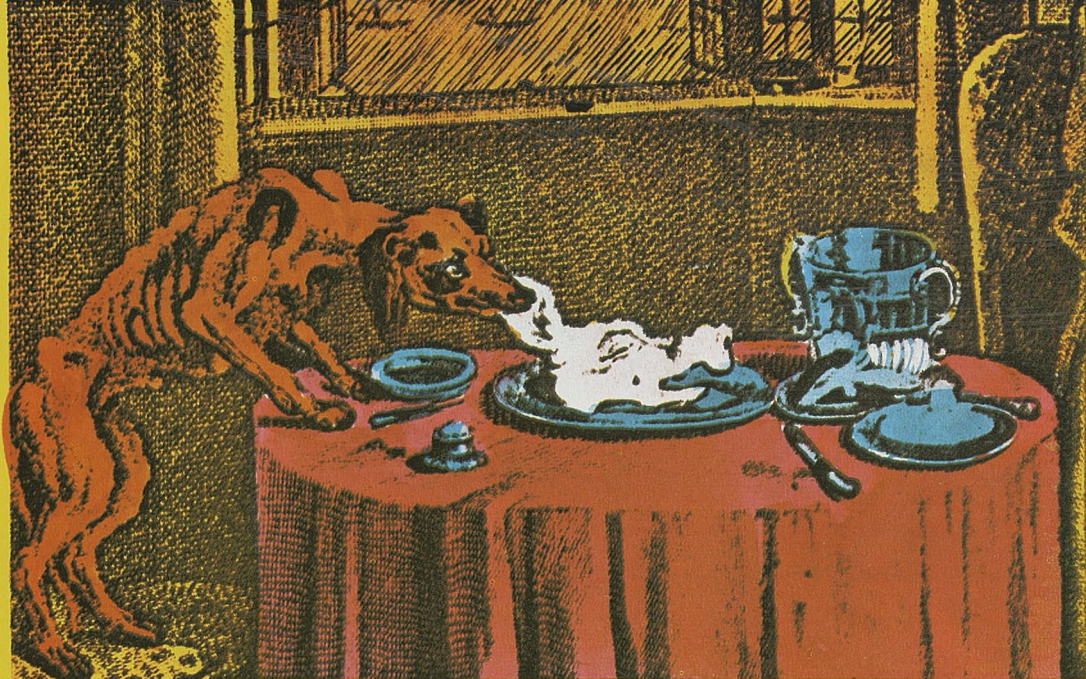
Jest noc. Ciszę przecina z rzadka syrena hamującego tramwaju, od czasu do czasu słychać spotęgowany odgłos czyichś kroków. Stary gasi wtedy latarkę i kuca. Boi się dozorców. Dozorcy kojarzą mu się z milicją, z konkurencją także. To oni jako pierwsi przetrząsają odpadki.

Wchodzimy na Plac Bawół. Z oddali dobiega skrzypiący dźwięk dzieciennego wózka. Zjawiała się Ptakowa. Ptakowa: pulchna, przygarbiona, szybko zagłębia ręce we wnętrzu pojemnika. — *Ja zbieram tylko chleb i ziemniaki, la świnki, la kurek. Manna sama z nieba nie spadnie.* Śmieje się pobłyskując srebrnym zębem. Ma troje dorosłych dzieci, jest wdową. Utrzymuje się z żebractwa, ze śmietnika. — *Co Pan Bóg da. A Pan Bóg niezbyt hojnie teraz daje. — Dawniej całe szynki ludzie do kubłów wyrzucali i dużo chleba* — mówi. — *Dziś coraz ciężiej, coraz gorzej.*

— *A wy tu co?* Błyska latarka selekcji odpadów miejskich, przywracając światu wszystko co

można jeszcze w jakiś sposób spożytkować. Śmietnik jest ich królestwem, przygoda, żywiołem, źródłem stałych, choć niewielkich zysków. Czasem, ale to chyba legendy, znajdują rzeczy bezcenne. — *Złoto znalazłem, obrączki znalazłem, naszyjnik znalazłem* — opowiada Henio, stary fetniak z Kazimierza. Prawda jest inna. Dziś coraz trudniej dorobić sobie. Jeśli trafisz na mąkę to „skluszczoną”, jeśli na kaszę to pełną robactwa.

Milicjanci już poszli. Poszli tropić niebezpiecznych przestępców. Dochodzi północ. W komórce starego odbywa się podział łupów. — *Buty i szmaty biorę, miedź biorę* — kupka „Emeryta” robi się coraz większa. Z żalem wręcza mi stary przewód, zdezelowaną lampkę i sześć butelek.



ŚMIECIARZE

Jest jeszcze noc, kiedy wchodzę do bazy MPO. Słowo baza, to pewna kurtuazja wobec blaszanego baraku, mieszczącego kilka ponurych klitek. Największa z nich jest świetlica. Wewnątrz przy wyszczerbionych stołach siedzą pracownicy.

Gablota ścienna przy drzwiach krzyczy: — *Przypomina się o zakazie spożywania alkoholu na terenie zakładu pracy... Polecam poinformować pracowników o obowiązku dostarczania zwolnień lekarskich... Będą potrącanie kwoty za nie zwróconą odzież roboczą.* Wiadomo, tutaj ciągle jeszcze zatrudnia się wszystkich, a cały system pracy oparty jest na restrykcjach: karne obcinanie dniówek, akord, wypłata zawsze na koniec tygodnia. — *Bo inaczej przez parę dni żaden by do roboty nie przyszedł.*

Do świetlicy wchodzi ładowacze, tęgie chłopcy o byczym karkach wszyscy w barwnych kaszkietach. Dym i kurwy wisza w powietrzu. Czytam ogłoszenia NSSZ Solidarność zachęcające do udziału w zakładowych wycieczkach. W programie: „Zwiedzanie Muzeum Czartoryskich, Galerii Malarstwa Polskiego i ... (!) Penetracja Wzgórza Wawelskiego”. Słuszne to i pocziwe.

— *Ty masz jechać ze mną?* Wyrasta jak spod ziemi pan Franek. Po chwili wsiadamy do pomarańczowej „bezyłki” — *Robota jest ciężka — tłumaczy — bo to Kazimierz, piwnice są, trzeba się cholernie nadzwigać. A ludzie wysypują do pojemników dziadostwo, gruz, sadzę, zwykle gówna, bo kibli nie mają. Zresztą sam zobaczysz.*

Ciężarówka przecina mroczne i puste ulice miasta. Mroczne i brudne. MPO pewnie niedługo splajtuje, coraz mniej instytucji korzysta z jej kosztownych usług... Nieczystości spuszcza się w ziemię, podrzuca, to normalne. Kryzys, szukanie oszczędności. Kryzys dotknie także pracowników. Wkrótce zostaną zwolnione wszystkie sprzątaczkę — Cyganki, samotne matki z wieloma dziećmi. I komu będzie lepiej?

Wjeżdżamy na Plac Bawół. Na miejscu Tadek i Staszek ustawiający kubły. — *Wody, gruzu napierdola, wszystko wylatuje* — meldują. Zaczynamy pracę: kolektywnie, spokojnie, rytmicznie i fachowo, uch jak fachowo. — *A jak coś znajdziesz — chleb, flaszkę, puszkę po piwie, jakieś szpejo, to wkładaj do worka* — mówi Franek. Wór wisi na haku obok podnośnika. Zaczynamy. Kondukt asenizacyjny rusza.

Podpinamy kubły. Ruch gałki, chrzęst, z głębi wylatują świadectwa ubogiej miejskiej diety: tysiące skorupki od jajek, opakowania po zupach w proszku, puszki po konserwach, słoiki po dżemach. Z gazet jest „Wyborcza” i „Dziennik Polski”, z paczek po papierosach — Popularne, Klubowe. Nędzą.

Po chwili do szuflady „bezyłki” wędrują sprasowane nieczystości. Chleba niewiele. — *Kiedy zaczynałem robotę, cztery lata temu — opowiada ładowacz — niszczyli jedzenia jak piernik. Żal patrzeć było. I tak se myślałem żeby ten chleb kurcze, tysiąc złotych kosztował. I doszło do tego.*

I dalej wyrzucają, nie szanują.

Wchodzimy do oficyny. W ogromnym pudle obok pojemnika piętrzą się główki lalek. *Tyle się narobili i wywieprzają* — konstataje filozoficznie Franek. Wkłada ręce do kontenera, odrzuca szmaty, wylawia pierwsze skarby: puszkę po piwie i stary przełącznik elektryczny. Wrzuca je zgodnie z umową do worka.

Dzisiaj idzie nam raczej słabo. Do połowy dniówki do pierwszego obrotu „na wysypkę” znaleźliśmy zaledwie kilka flaszek. — „*Nurki*” były w nocy — piekli się jeden z ładowaczy. — *Wszystko do spodu przekopali, ludziom zarobić nie dadzą.* Nie umiem powstrzymać uśmiechu.

Ładowacze nienawidzą „nurek” i pogardzają „kopaczami”. Oni są prawdziwymi arystokratami śmietnika, opłacanymi hojnie (700 i więcej miesięcznie) wybierającymi w nieczystościach od niechęci, dla nawyku czy hobby. Prawdziwymi władcami odpadków, ich rzeczywistymi selekcyonerami są ludzie-szczury: „kopacze”, jak robaki wżerający się w śmierdzące padło miasta, vegetujący „na pewexie” w centrum komunalnego wysypiska.

Kto był tam raz, nie da się zaciągnąć po raz wtóry, jeżeli ma w sobie chociaż trochę człowieczeństwa. — *No, chcesz ich zobaczyć?* — pyta Franek. — *To skacz do szoferki. Jedziemy.*

ŁUDZIE-SZCZURY

Pomarańczowa „bezyplka” pnie się mozolnie pod górę — „na pewexie”. Wokół rozciąga się pas dwudziestu dwu hektarów zdegradowanej gleby, pociętej jak tort zwałami fermentujących śmieci. Z oddali czuć fetor, mieszaninę zapachów ostrych i słodkich, przenikliwych, drażniących przyprawiających do młodości. Wysypisko komunalne: oto najbardziej współczesne wykopaliska, codzienny świat w krzywym zwierciadle groteski.

Wjeżdżamy na „wysypkę”. Samochód zanurza się miękko w brunatnej brei, skrzęcej się teraz tysiącem połyskliwych szkiełek, kawałków plastyku, żelaza, mosiądzu, miedzi, aluminium. Rzeczy byłych, niepotrzebnych, rozłożonych na czynniki pierwsze.

Przed nami na górach śmieci siedzą stada wrzaskliwych rybitw, pomiędzy nimi pęta się biały pies, wyzera ściervo. Dalej, z workami na plecach i dwuzębnymi motyczkami uwijają się „kopacze”. — *Ja bym tam nie grzebał* — mówi z pogardą kierowca. — *Tu flaki ze szpitali wywożą, odchody. Ale oni widać są już nauczeni. Tacy ludzie. Zobaczysz jak zaraz rzucą się do miodu.*

Stajemy. Zza zwałów, z jam, z zakamarków wysypiska biegną w kierunku śmieciarki: chłopcy ubrane w fufajki, baby okutane chustami. Po chwili otaczają szufladę „bezyplki” zwartym kołem. Czekają w skupieniu wbijając wzrok w brązową dymiącą masę. Są czujni i zwracni. Zębami motyczek celnie trafiają szyjki butelek. Kto pierwszy ten lepszy.

Auto podjeżdża kilka metrów. „Kopacze” stoją przez moment wokół siedmionowej góry odpadów, jakby przelamywali wewnętrzną opór. Wreszcie jeden rzuca się na szczyt, daje sygnał do ataku na breję. Szturm trwa zaledwie kilka minut.

Wysiadam z samochodu. Nagle czuję skurcz gardła i pulsowanie żołądka. Obraz staje się nieczytelny, biegnę grzeżąc po kolana w lepkiej, śliskiej mazi. „Kopacze” śmieją się. — *Te, płytko oddychaj, to za chwilę przejdzie.*

Szok powoli mija. Chwytam w usta haust świeżego wiatru. Widzę psa, który żre flaki — może naprawdę ludzkie? Widzę kopaczy zapadających się w zagłębieniach i wyskakujących nagle na powierzchnię, kiedy napotykają stada szczurów. Tu wszystko jest możliwe. Tu naruszenie czyjejś własności, cennego znaleziska, kończy się walką na noże. Tu stare pojęcia o godności ludzkiej jakby przestały funkcjonować.

Podchodzę do chłopca o sinej zmęczonej twarzy.

Często pan tu przychodzi? — Dziesięć lat.

Od której? — Od szóstej rano. Śmieciarkę złapię w Krakowie i sobie jadę.

Co pan zbiera? — Różnie: PCW, alum, flaszki. Jak jest dobry dzień, to 40 tysięcy zarobię.

Znalazł Pan coś cennego? — Ja nie, ale znajdowali pieniądze.

Co jeszcze? — Zegarek, pierścioneł, naszyjnik poznajdowali, czasem dowody albo prawa jazdy, to je do skrzynki pocztowej wrzucają.

Dlaczego Pan to robi? — Rencista jestem. 300 tysięcy dostają. Co to jest?

Inni podobnie? — Podobnie. Tu chłopcy z Podstolin, z Grabówek przychodzą, na wódkę im trzeba. Niektórzy nie mają roboty, to co mają robić?

A kobiety? — Baby świnię chowają, żarcia szukają. Dwa, trzy worki chleba co dzień znajdują.

Nie brzydzi się Pan tu kopać? — Ja tam zwyczajny.

Dwa ciężkie spychacze przez cały czas rozgarniają zwałowisko. Spod płóz wyskakują tenisowe piłki, główki lalek, szczątki czasinnych wózków, pralek, radioodbiorników. Tak, tu jest wszystko co daje pojęcie o czasie, miejscu i cywilizacji. Wszystko co po nas zostanie.

Na wysypkę wjeżdża pomarańczowy „maluch”. Za kierownicą siedzi 40-letni fetniak w pasiastym swetrze. Otwiera drzwi. Wypuszcza starego mężczyznę z ogromnym koszem i „kopicykiem” w garści. — *Przywiozłem teścia* — śmieje się. — *Po co ma się balamucić w domu siedzieć, dzieci po dupach szczypać. Wysadzam go tu i spokojnie. O, patrz pan jaką fajną miętę znalazł.*



Stary brnie w zwałowisko. Pracuje rytmicznie, fachowo — widać rutynę. — *Trzy lata temu było tego. Całe pasztetówki ludzie wyrzucali — skarży się. — Teraz się ucięło. Kryzys. I ciągle nowi przychodzą na wysypkę, bezrobotni z Krakowa, Huty. Manna sama z nieba nie leci. Widzę, że pogodził się ze swoją rolą — robotą.*

Dochodzi dziewiąta. Ruch na chwilę zamiera. Druga fala pomarańczowych ciężarówek napły- nie dopiero około 13-tej. Kopacze robią sobie składowisko skarbów. W słońcu błyszczą sterty butelek, plastikowych rurek, płyt PCW, drutów. Pomiedzy nimi stoją miednice wypełnione po brzegi chlebem i ziemniakami, sterty czajników, patelni a nawet nie wiadomo skąd, ogromna pralka. Teraz pojawiają się dzieci. Najmłodsze ma 9 lat, najstarsze 14. Buszują wprawnie po zwałowisku, wrywają sobie cenne kawałki metalu, ale wszystkie uciekają przed facetem z notesem.

U szczytu wzgórza młoda kobieta w brązowym chałacie wyciąga właśnie pęto kielbasy ze sterty śmieci. — *Oplukam to w wodzie i zjem. Chleb też oplukam i zjem. Z tego żyję. Czuję mdły smak w ustach. Robi się coraz cieplej, zewsząd dobiega fetor, coraz gęstszy, coraz trudniejszy do zniesienia. Kobieta mówi sama do siebie: — Wcześniej w biurze pracowałam. Zwolnili mnie. Kraść przecież nie pójdę, to po śmietnikach chodzę.*

Pozostali „kopacze” nie chcą gadać. Są młodymi, silnymi ludźmi, robotnikami z pobliskiej kopalni. Pracują na zmiany. W wolnych chwilach dorabiają na półlitrowkę. Jeden przebywa na „L-4” inny wyrabia sobie rentę inwalidzką, trzeci odkąd znalazł na wysypisku używaną baterię od wanny — szuka skarbów. Jest jeszcze 75-letni rencista ze starego portfela, były murarz. Podobno nie starcza mu nawet na mleko.

Dochodzi dziesiąta. Na prywatny punkt skupu obok wysypiska wjeżdża biały „polonez”, własność jednego pracodawcy „kopaczy”. Wystarczy na niego spojrzeć, aby wiedzieć, że jest tu kimś — faciem, heroldem, szefem, gościem. Tak, to widać od razu, kiedy przemawia do swoich ludzi — ostro z góry. Teraz taruje wagę, fachowo, powoli, z uczuciem widocznej przyjemności. — *A pan to kto? Dziennikarz? Pokazać legitymację. A jak nie to wynocha z mojego terenu. Obok niego stoją dwa psy. Za plecami słyszę. — Jaja mu wybrać powinien.*

Po chwili na wagę wędrują skarby kopaczy. Miedź — 4 tysiące za kilo, aluminium — 3 tysiące, mosiądz — 2, PCW — 150, plastik — 130. Dzień przełamuje się na pół. Nadjeżdżają kolejne ciężarówki śmieciarzy. Znajomy kierowca zabiera mnie do miasta. — *No, napatrzyłeś się? Wybucha śmiechem. — A wiesz dlaczego nigdy ich stąd nie wyrzucono? „Kopacze” mają swoją metodę. Kiedy przychodzi milicja podpalają „wysypisko”. Trzeba miesiocy, żeby je ugasić. To w końcu parę metrów śmieci. I smród idzie na całą okolice.*

Odwracam się. Ludzie-szczury pracują w skupieniu. Mają milczące, puste twarze.


NOWE WIEŚCI 1990 nr 1



Kierownik techniczny
ZENON MACIAK
Oświetlenie
LUDWIK KOLANOWSKI
Akustyka
ROBERT MATUSZEWSKI, TADEUSZ MIKOŁAJCZYK
Rekwizytor
ZDZIŚŁAW KOWZUŃ
Brygadier sceny
RYSZARD ŚWISTAK
Kierownik pracowni krawieckiej damskiej
KRYSZYNA SZCZEPANIK
Kierownik pracowni krawieckiej męskiej
ANTONI FOLFASIŃSKI
Pracownia perukarska
ELWIRA JARGOSZ
Pracownia modniarska
EWA ENGLERT-SANAKIEWICZ
Prace modelatorskie
BRONISŁAWA I EDWARD SOLECCY
Kierownik pracowni stolarskiej
BOGUSŁAW SŁONINA
Prace ślusarskie
JAN WINIARSKI
Prace tapicerskie
STANISŁAW KASPRZYK

Organizacja widowni: kierownik WŁODZIMIERZ BRODECKI prowadzi sprzedaż biletów, przyjmuje zamówienia indywidualne i zbiorowe codziennie w godz. 9.00–16.00 tel. 43-71-01, 44-27-66

Redakcja programu
JOANNA WOŹNIAK
Opracowanie graficzne programu
DOBROMIŁA OLEWICZ
Wykorzystano fragmenty grafik Williama Hogartha



Dyrekcja i Zespół Teatru Ludowego w Nowej Hucie składają najserdeczniejsze podziękowania wszystkim, którzy zechcieli zasilić konto Fundacji Teatru Ludowego.

firmom:
FRUTAROMA
MONTIN
„dali”
BUDOSTAL — Przedsiębiorstwo Budownictwa Specjalistycznego
oraz pani Małgorzacie Kwiecińskiej-
-Järvenson

Jeśli i Ty również pragniesz wspomóc finansowo nasz Teatr, zapamiętaj numer konta BPH V o/m Kraków nr 323428-2802-132-3



W REPERTUARZE:

Gabriela Zapolska
MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ
reżyseria: Włodzimierz Nurkowski
scenografia: Anna Sekuła

Witold Gombrowicz
IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA
reżyseria: Jerzy Stuhr
scenografia: Jan Polewka

PORT WIELKI JAK ŚWIAT
Piosenki Jacquesa Brela
reżyseria: Marta Stebnicka
scenografia: Małgorzata Komorowska-Dobrucka

Hans Christian Andersen
KRÓLOWA ŚNIEGU
reżyseria: Włodzimierz Nurkowski
scenografia: Anna Sekuła

scena NURT
Sławomir Mrożek
POLICJA
reżyseria: Rafał Maciąg
scenografia: Elżbieta Krywsza-Fedorowicz

TARANTULA
na motywach powieści Fiodora Dostojewskiego „Idiota”
inscenizacja: Dorota Latour

Prod.: „SAS” — Kraków, ul. Rzeźnicza 14/57
cena 5000 zł,—
Druk: Agencja Graf. ul. Szlak 65, tel. 22-51-44/210

